

Étienne Gilson

Terror roku dwutysięcznego

Od dawna podaje się dzieciom, jako pewne, że około roku tysięcznego ludzi ogarnęło wielkie przerażenie. W każdym razie nas tak nauczano, my w to uwierzyliśmy, i jest rzeczą naprawdę zadziwiającą, że nie wszystko z tej lekcji było całkowitą nieprawdą. Dzisiejsi uczeni robią sobie z tego żarty i traktują to jak legendę. Nigdzie – powiadają – nie jesteśmy w stanie znaleźć śladu tej, tak zwanej paniki, która, jak się uważa, sparaliżowała wówczas całe populacje oczekujące nadejścia końca świata. Historycy ci mają rację, przynajmniej do pewnego stopnia, ale nawet gdyby oni się mylili, to my sami prawdopodobnie uśmiechalibyśmy się czytając dzisiaj w *Kronice* dobrego mnicha Raoula Glabera relację z różnego rodzaju cudownych wydarzeń, które odcisnęły swe znamię na ostatnich latach X w. Wojna, zaraza, głód, ognisty smok, wieloryb wielkości wyspy? Nasze świadectwo jest o wiele lepsze! Tym razem wróg ludzkości rozpoczął wcześniej, nawet znacznie udoskonalił swoje metody i jeśli dla dzisiejszych historyków terror roku tysięcznego nie jest pewny, to terror roku dwutysięcznego będzie taki z pewnością dla historyków w przyszłości.

Od 1914 do 1918 r. świat został spustoszony przez wojnę, która nie miała sobie równej. Moźni tego świata przedarli się przez granice i zalali Europę, pozostawiając po sobie niezliczone

zgliszcza, milionowe rzesze ludzkich ofiar, a także historyczny materializm, panujący nad Świętą Rosją, z której później – jak widzimy – zagrozi całemu światu. Nawet podczas trwającego dwadzieścia lat zawieszenia broni, który uznaliśmy za pokój – cóż za tragiczny rozlew krwi! Chiny, znajdujące się w stanie nieustannej wojny, wydają się być trochę za daleko, aby miało martwić nas to, co się tam dzieje. Ale czyż zapomnieliśmy już o tym, co miało miejsce w Hiszpanii, w kraju w większości chrześcijańskim, podczas tej barbarzyńskiej wojny domowej, w której człowiek wobec człowieka okazał takie okrucieństwo, że świadkowie na jego wspomnienie ściszą swój głos i szepczą: „cokolwiek, byle nie oglądać tego znowu!” Głód w X w.? Wystarczy, że na chwilę zamknę oczy, a widzę raz jeszcze martwe dzieci z 1922 r. w ukraińskich wioskach i na brzegach Wołgi, których małe zwłoki walały się w opuszczonych szkołach; to znowu doprowadzone do stanu barbarzyństwa bandy dzieci, włóczące się wzdłuż torów kolejowych, które później miały paść od kul karabinów maszynowych. Na początku XX w. tak, jak na końcu wieku X – świadczą o tym oficjalne dokumenty – rodzice zjadali własne dzieci. Ojcowie i matki tacy, jak nasi rodzice, jak my sami, lecz znający znaczenie tego strasznego słowa: głód.

To był jedynie skromny początek. Zobaczyliśmy bowiem, niemiecką armię, która rzuciła się na Europę po raz drugi, jak wielka fala pływowa. Polska pokonana, splądrowana, zmasakrowana. Pod ciosami nieprzepartego zdobywcy jeden po drugim upadają narody. Francja w agonii, jej honor zraniony. Paryż skruszony jako kolejny, a echo jego upadku rozlega się w milczeniu zdumionego świata. Raoul Glaber roku dwutysięcznego nigdy by nie przestał mnożyć rozdziałów swej przygnębiającej opowieści. Musiałby opisać potworną serię nieszczęść, które runęły na cały świat, a z których my sami, jako ich naocznymi świadkami, ledwie potrafimy zdać sprawę. Niebo wszędzie przeorane przez ogniste smoki, dużo bardziej straszniejsze od tych, które na progu roku

tysięcznego przemierzały niebo Francji, z północy na południe. W Japonii, na Wyspach Morza Południowego, w Chinach, w Rosji, w Niemczech, we Francji, we Włoszech – w samej Anglii, która czuła się bezpiecznie ukryta za naszą armią, własną flotą i głębinami otaczającego ją morza – zwały gruzu, które nie zostały jeszcze uprzątnięte i które można jeszcze zobaczyć; liczby dotyczące ludzkich ofiar ciągle rosną, zmarłych stale oplakujemy w naszych sercach; cała rasa bestialsko starta z powierzchni ziemi, skazana na zagładę przeprowadzoną z zaborczą nienawiścią i pomysłowością, jaką tylko człowiek jest zdolny zgotować człowiekowi. Niemcy otworzyły dla Żydów, i pogodziły się z tym, groby, których liczby ciągle nie znamy. Oczywiście, wszystko miało znaleźć swój koniec w wyzwoleniu, lecz wiemy, jakie kolejne zniszczenia miały stanowić jego cenę. Była nią bomba z Hiroszimy, której uroczysta detonacja ogłosiła przerażonemu światu, wraz z rzekomym zakończeniem wojny, po którym nie nastąpił wcale pokój, początek nowej ery, w której nauka, wcześniej nasza nadzieja i nasza radość, stanie się źródłem największego terroru.

Tym samym człowiek dokonał najwybitniejszego ze swoich odkryć, najbardziej frapującego, gdyż zupełnie nieplanowanego – otóż, wielka tajemnica, którą nauka właśnie wyrwała z materii, stanowi tajemnicę zguby samej nauki. Dzisiaj poznanie jest synonimem zniszczenia. Rozszczepienie cząstek nuklearnych jest nie tylko najintymniejszą odsłoną natury świata fizycznego i uwolnieniem najpotężniejszej energii, jaką kiedykolwiek posiadano, lecz także najbardziej przerażającym czynnikiem zniszczenia, który człowiek kiedykolwiek miał do swojej dyspozycji. Trzy rzeczy są nierozłączne. Można budować coraz potężniejsze baterie atomowe, można w ten sposób wyprodukować ogromne ilości użytecznej energii, jednak skutkiem ubocznym działania tych baterii jest właśnie materiał wybuchowy bomby atomowej. Dzisiaj nie tylko człowiek, który posiada tak rozległą wiedzę o rzeczach, zastanawia się, czy zdolny jest sprawować kontrolę nad własną do-

minacją, lecz same warunki tej ludzkiej dominacji stawiają uczonego przed tragicznym dylematem: poprzednio człowiek panował nad naturą okazując jej posłuszeństwo, obecnie – niszcząc ją.

Ciągle jesteśmy dopiero na początku. Wiek fizyki atomowej ujrzy narodziny nowego świata, różnego niż nasz, podobnie jak nasz pochodzi ze świata, w którym nie było jeszcze pary i elektryczności. Niewątpliwie różnice mogą być nawet większe, jako że zmiany będą zachodzić jeszcze szybciej, zwłaszcza kiedy, schedę po erze fizyki przejmie jeszcze groźniejsza era biologii. Niewielu spośród tych, którzy pracują w laboratoriach, w to wątpi: jesteśmy u progu wielkiej tajemnicy, która pewnego dnia może ujawnić swój sekret. Będziemy zdolni do pracy nie tylko nad bezwładną materią, lecz także nad życiem, i nie tyle zasięg naszej władzy stanie się przerażający, co sama jej natura, ponieważ z możliwością dobra nierozłącznie idzie w parze możliwość zła.

«Broń Pasteura» jest dzisiaj terminem powszechnym. Jest on wyrażeniem strasznym i wstrząsającym, staje się bowiem, symbolem tego, co całkowicie niezależne jest od jakichkolwiek ludzkich intencji. Pasteur nigdy nie hodował bakterii w innym celu, niż dla osłabienia złośliwości ich kultur, a stąd dla ratowania ludzkiego życia. Dzisiaj, przeciwnie, usiłuje się wzmacniać ich złośliwość po to, by zabijać, a nie po to, by uzdrawiać. Biologia jutra pozwoli na bardziej wyrafinowane, lecz nie mniej groźne, ingerencje w naturę człowieka. Czy możemy wyobrazić sobie następstwa, do których doprowadzi, być może w niedalekiej przyszłości, swobodne określanie płci? Czy potrafimy przewidzieć, co mogłoby się zdarzyć w świecie, w którym można by nie tylko dowolnie produkować mężczyzn i kobiety, lecz także dokonywać ich selekcji i tworzyć ludzi dostosowanych do różnych funkcji, jak czynią hodowcy psów, koni, czy bydła? Co stanie się z wolnością i godnością osoby ludzkiej w tym społeczeństwie przyszłości, które nauczy się, jak przysparzać sobie niewolników czy nawet reproduktorów, których będzie potrzebować? Przynajmniej raz, wydają

się być poskromione najśmielsze prorocтва Herberta G. Wellsa, jako że w jego *Wyspie doktora Moreau* pracuje się jedynie nad przemianą dzikich zwierząt w ludzi. Natomiast w przyszłym społeczeństwie to ludzie przemieniać się będą w zwierzęta, które posłużą realizacji dążeń ludzkości, odtąd niegodnej tego imienia.

Obawy dzisiejsze nie dotyczą jednak jakiegoś małego zakątka na ziemi, jak te z 948 r. Jest to terror o zasięgu światowym, rozgrywający się na powierzchni całej planety, od Władystoku do Alaski, poprzez Moskwę, Berlin, Paryż, Londyn i Waszyngton. Czy naprawdę znamy jego przyczynę?

Ludzie żyjący w X w. przynajmniej wiedzieli, czego się obawiają. Wcale nie końca świata, jak po wielokroć błędnie powtarzano, lecz przeciwnie – wydarzenia, które miało go poprzedzić i dostatecznie długo trwać w historii, a które profetycznie zwiastuje *Apokalipsa* w słowach: „A gdy się skończy tysiąc lat, z więzienia swego szatan zostanie zwolniony. I wyjdzie, by omanić narody z czterech narożników ziemi, Goga i Magoga, by ich zgromadzić na bój, a liczba ich jak piasek morski” (Ap 20, 7-8). W taki oto sposób pisze o tym sam św. Jan Apostoł. Nieprzyjaciel Boga ma się wkrótce objawić, dając początek przerażającej erze obrzydliwości i spustoszenia.

Po czym można by go rozpoznać? W pytaniu tym kryje się ciekawość, która zawsze łagodzi twogę. Nadto średniowiecze miało w tej sprawie swoją precyzję, która trochę nas zaskakuje. Bestia o siedmiu głowach i dziesięciu rogach była Szatanem, a imiona, które nosiła na swych głowach, były imionami bluźnierstwa. *Apokalipsa* opisuje ją jako panterę, która miała łapy niedźwiedzia i paszczę lwa. Tajemnicza liczba wyraża jej istotę, i „niech czytelnik, jeśli taką umiejętność posiada, obliczy sumę cyfr w imieniu bestii, według ludzkiego wzoru, a powstanie liczba sześćset sześćdziesiąt sześć”. Dlaczego? Ponieważ, jak twierdzi św. Ireneusz, Noe w czasie potopu miał sześćset lat, a pomnik Nabuchodonozora miał sześćdziesiąt łokci wysokości i sześć łokci

szerokości: dodając wiek Noego oraz wysokość i szerokość pomnika Nabuchodonozora, otrzymujemy sześćset sześćdziesiąt sześć. Jest to nie tylko jasne, to jest oczywiste! Czy wiesz, jakie jest jej imię? Evanthas, Lateinos, Tytan, może inne¹. Ireneusz wie wszystko. Informuje nas nawet o tym, że Antychryst zdewastuje całą ziemię, panując w świątyni trzy lata i trzy miesiące. Po czym nastąpi koniec świata, gdy czas trwania stworzenia dobiegnie sześciu tysięcy lat.

Dzisiaj nie potrafimy czytać o takich szczegółach, bez wesołego uśmiechu na ustach. Jednak Biskup Lyonu zna ich tak wiele, że przyszłość odsłania się przed nim z całą precyzją scenariusza filmowej super produkcji. Wchodzimy w jej atmosferę i stawiamy mu kilka pytań, lecz on zna odpowiedź na wszystko. Dlaczego świat powinien trwać dokładnie sześć tysięcy lat? Jest tak dlatego, że stworzenie świata zajęło sześć dni i że jeden dzień stworzenia ma wartość tysiąca lat, świat osiągnie więc swój koniec po tym, jak sześć dni stworzenia ukończy swój bieg. Odpowiedź jest wyborna! Lecz tutaj powstrzymujemy uśmiech, jako że nieprzyjemna wątpliwość przychodzi nam do głowy. Sześć tysięcy lat? A ile lat miał świat w czasach Chrystusa? Czy, aby nie około roku dwutysięcznego miało ostatecznie upłynąć owe sześć tysięcy lat istnienia świata? Plagi, które nas prześladują, i groźby ciosów, które na nas czekają, nie sprzyjają odrzuceniu tej hipotezy. Jeśli nawet dramat, w którym żyjemy, nie zapowiada końca świata, to jest jego prawdziwą próbą generalną. Czy zobaczymy jeszcze gorsze rzeczy niż Buchenwald, Lidice i Oradour-sur-Glane? Chyba nie jest to niemożliwe, lecz trudno w to uwierzyć. W tym momencie naszej refleksji rozglądamy się i pytamy z niepokojem: Ale gdzie jest Antychryst? I oto, jest on dokładnie tutaj!

¹ Według greckiego systemu numerycznego, każdej literze alfabetu odpowiada konkretna liczba. Suma liczb, odpowiadających poszczególnym literom składającym się na cytowane za św. Ireneuszem imiona bestii, w każdym przypadku jest taka sama: Evanthas (E=5, U=400, A=1, N=50, TH=9, A=1, S=200) Suma=666 Lateinos (L=30, A=1, T=300, E=5, I=10, N=50, O=70, S=200) Suma=666 Teitan (T=300, E=5, I=10, T=300, A=1, N=50) Suma=666 Zob. <http://www.biblestudying.net/preterism6.html/16.01.2006>

Ecce homo, powiedział Fryderyk Nietzsche o sobie: oto człowiek! Tym razem, już nie Bóg, który staje się człowiekiem, aby go ubóstwić, lecz człowiek, który staje się Bogiem, aby przywłaszczyć sobie Jego miejsce i który chce być bogiem dla siebie. Początkowo dziwi nas fakt, że nie ma on w sobie podobieństwa do fantastycznej bestii z *Apokalipsy*. Jednak, podobnie jak ona, on również posiada liczbę i jest to liczba człowieka. Na ludzkim ciele, ludzka głowa z mocno uwydatnionym podbródkiem, szerokim czołem intelektualisty ukoronowanym bluźnierstwami, a w pięknych oczach niepokój obłądu. Nie nosi żadnego z tych imion, o których nam mówiono. Nie nazywa się Lateinos, ani Evanthas, lecz Zaratustra. Oto przemawia, jak ten, o którym św. Paweł dawniej prorokował, że zasiądzie „w świątyni Boga dowodząc, że sam jest Bogiem” (2 Tes 2, 4).

Tak właśnie zachowuje się Nietzsche, kiedy siebie czyni jedynym strażnikiem straszliwego ładunku wybuchowego, o którym ludzkość jeszcze nie wie, lecz który mimo to zmieni jej losy. Przerazające przesłanie, potężniejsze od bomby zrzuconej na Hiroszimę, dla której było zapowiedzią, tysiąckroć bardziej od niej niszczycielskie, które Zaratustra wypowiada szeptem do siebie, gdy podąża w naszą stronę, sprowadza się do tych bardzo prostych słów: „Nie wiedzą o tym, że Bóg umarł”. Przynajmniej on o tym wie, i dlatego jego imię brzmi zarówno *Ante-christus*, jak i *Anti-christus*. „Czy zrozumieliście mnie?” – pyta. „Dionizos twarzą w twarz z Krzyżem”. Przychodzi on nie tylko *przed* Chrystusem, lecz także *przeciw* Niemu.

Jest to główne odkrycie czasów nowożytnych, wydarzenie, dla którego każde inne, tragiczne na skalę swoich możliwości, stanowi jedynie dopowiedzenie lub następstwo. Choćbyśmy prześledzili dzieje ludzkości na dowolnym odcinku, to nie znajdziemy porównywalnego przewrotu, tak pod względem zakresu, jaki też istoty swej przyczyny. Demoniczna wielkość Nietzsche’go polega na tym, że on akurat wie i że on tak powiedział. Nie jest to wcale

skutek pracy naszej wyobraźni; wystarczy przeczytać *Ecce Homo*, aby znaleźć na to dowód: „Znam swój los. Nadejdzie dzień, kiedy wspomnienie strasznego wydarzenia zostanie na trwałe złączona z moim imieniem, wspomnienie wyjątkowego kryzysu w historii świata, najgłębszego zderzenia sumień, wyroku wydanego przeciwko wszystkiemu, w co się do naszych dni wierzyło, wymagało i święciło. Ja nie jestem człowiekiem, jestem dynamitem”. Czy choć przez chwilę można mieć wątpliwości, że dziś Nietzsche powiedziałby „jestem bombą atomową”? I ma zupełną rację! Od samego początku człowiek o niczym nie myślał, nic nie mówił, niczego nie czynił, co nie czerpało swoich inspiracji z tej pewności, że istnieje Bóg lub bogowie. I oto nagle Boga już nie ma, a właściwie, widzimy, że nigdy Go nie było! Będziemy musieli zmienić całkowicie każdą naszą myśl, słowo i czyn. Cały ludzki porządek chwieje się w swych posadach. Antychryst jest ciągle jedyną osobą, która o tym wie, jedyną osobą, która przewiduje zatrważający kataklizm - który nadciąga - spowodowany odwróceniem wartości, ponieważ skoro cała ludzka przeszłość zależała od pewności, że Bóg istnieje, to cała jej przyszłość musi zależeć od przeciwnej pewności, że Boga nie ma. Zobacz jednak głupotę ludzi, którzy jeszcze tego nie wiedzą, lub którzy ciągle działają tak, jak gdyby paru z nich nie poznało tego wcześniej! Wszystko to, co było prawdziwe od początku ludzkości, stanie się nagle fałszywe, a co stanie się prawdziwe? Bez względu na to, czy człowiek to wie, czy też nie, sam musi stworzyć dla siebie nową formułę życia, która będzie formułą jego przeznaczenia.

Bardzo dobrze, zabierajmy się do pracy. Jednak człowiek nigdy nie użyje swojej twórczej wolności dopóki wierzy, że to, co umarło, wciąż żyje. Stąd, Nietzsche definiuje swoją misję niszczenia: „Kiedy prawda wypowie wojnę kłamstwu, będziemy świadkami przewrotów, o których nie słyszano w historii świata, trzęsienia ziemi zawirują światem, góry i doliny zamienią się miejscami, a wszystkie możliwe wyobrażenia zostaną przekro-

zione. Politykę wówczas zupełnie pochłonie wojna idei i wszystkie kombinacje mocy starego społeczeństwa zostaną zniszczone, wszystkie bowiem, są zbudowane na kłamstwie: będą wojny, jakich ziemia nigdy wcześniej nie widziała. Wraz ze mną rozpocznie się na świecie wielka polityka... Znam odurzającą przyjemność niszczenia na miarę mojej niszczycielskiej mocy”.

Czy zrozumieliśmy wreszcie? Pewności nie ma, ponieważ zapowiedź kataklizmu o takich rozmiarach zwykle pozostawia jedną drogę ucieczki: nie wierzyć w nią i po to, aby nie uwierzyć, nie chceć jej zrozumieć. Jeżeli Nietzsche mówi prawdę, to obalony ma zostać sam fundament ludzkiego życia. Przed ustaleniem tego, co prawdziwe, będziemy musieli stwierdzić, że wszystko, dzięki czemu człowiek dotąd żył, wszystko, dzięki czemu ciągle żyje, jest kłamstwem i oszustwem. „Przyszły stwórca, zarówno tego, co dobre, jak i tego, co złe, musi najpierw wiedzieć jak zniszczyć i rozbić wartości”. W rzeczy samej, wartości ciągle ulegają zniszczeniu wokół nas, giną dokładnie pod naszymi stopami, wszędzie. Przestaliśmy zważać na niestłuchane teorie narzucane nam pod tak różnymi nazwami, jak różne są ich metody myślenia. Każda jest zwiastunem nowej prawdy, którą obiecuje wkrótce stworzyć. Każda radośnie i intensywnie przygotowuje zupełnie nowy świat jutra, unicestwiając najpierw świat dzisiejszy.

Zniszczenie teraźniejszości dla stworzenia przyszłości, na tym faktycznie polega misja uwodziciela. „Jestem pierwszym amoralistą, stąd jestem niszczycielem par excellence”. Zna on swoją misję, i jego uczniowie również ją poznali. „Amoralista” André Gide’a mógłby posłużyć jako właściwy tytuł, nie tylko dla pewnych powieści, które napisali, lecz dla całej ich twórczości. Czy jest to po prostu literatura? Niewątpliwie, i to czasami piękna, lecz czyż nie wiadomo nam od dawna, że uwodziciel będzie przystojny? To, że się go nie spodziewaliśmy, jest jeszcze do wybaczenia. Ale to, że nie powinniśmy zrozumieć tego, co robi, kiedy robi to dokładnie na naszych oczach, dokładnie tak, jak mówiono

nam, że to robi, świadczy o jakimś nieznanym zaślepieniu. Czyż może być faktycznie tak, że tłum ludzi prowadzony na ścieżkę ma oczy i jeszcze nie widzi?

Niemniej jednak jest to bardzo proste! Jakąkolwiek krytykę można by skierować pod adresem czcigodnego Rzemieślnika z Biblii, przynajmniej trzeba mu przyznać to, że dobrze wiedział, co znaczy „stwarzać”. Nie uważał się za jakiegoś greckiego półboga, kształtującego na podstawie własnej idei materię, która nie zawdzięcza mu swego istnienia. O ile jedna rzecz jest zrobiona z drugiej, o tyle trzeba zrobić ustępstwo wobec materiału, którego się użyło. Stwarzanie, przeciwnie, polega na zrobieniu czegoś z niczego, w akcie najwyższej wolności, którego, jako że czyni *ex nihilo*, nic nie warunkuje, nic nie determinuje, nic nie ogranicza. Akt naprawdę bezinteresowny, którego ktoś jest jedynym i całkowitym autorem, jest jedynym aktem, który jest naprawdę twórczy, ponieważ sam jest naprawdę wolny. W wieczności, która transcendowała czas, Jehowa był wolny. My jednak nie jesteśmy, ponieważ, nawet jeśli świat nie został stworzony, wszystko na tym świecie jawi się jakby stworzone zostało, jako że wszystko istnieje. I faktycznie właśnie świat jest tym, co nas ogranicza! Próbuując, na ile nas stać, kształtować go i przekształcać na sto różnych sposobów, czynimy z niego tylko to, na co pozwala nam jego natura. Możemy stać się wielkimi przetwórcami, lecz stwórcami – nigdy! Aby człowiek z kolei stwarzał *ex nihilo*, musi najpierw przywrócić wszędzie na nowo próżnię.

Na to, aby stwarzać, jest jeszcze za wcześnie, ale można zacząć od niszczenia. Stąd też, człowiekowi wszędzie towarzyszy ta upajająca radość, o której Nietzsche powiedział, że jest tak wielka, jak jego moc niszczenia. Być może to stanowi odpowiedź na gorzkie pytanie, które tak wielu z nas sobie stawia: Czego właściwie człowiek chce? Czy on oszalał? Tak, w pewnym sensie, ale tylko z wielce oświeconym szaleństwem istoty stworzonej, człowiek będzie unicestwiać przeszkody, których istnienie stawia na

drodze jego twórczych ambicji. Taki jest głęboki sens naszej wielkiej i tragicznej przygody. Antychryst nie jest wśród nas, lecz jest w nas. Jest nim sam człowiek, który sięga po nieograniczoną moc twórczą i dąży do pewnego unicestwienia tego, co jest, po to, aby uprzątnąć drogę problematycznemu stworzeniu tego, co ma być.

Znajdujemy się zatem, w decydującym momencie kosmicznego dramatu. Któż jak Bóg? Jam jest, mówi człowiek. Kiedy nie chcemy już być Bożym wizerunkiem, możemy być przecież Jego karykaturą! Eksplozja w Hiroszynie nie zagłuszyła tych nieludzkich krzyków, które wznoszą się ku nam z obozów powolnej śmierci i niemieckich dołów mogiłnych. Ich brzmienie trwać będzie długo, jak uroczyste zapewnienie o określonym znaczeniu. Przejrzelismy wreszcie tajemnice materii! Wiemy dokładnie jak jest zbudowana, jako że stać nas na to, by ją zniszczyć. Jaki będzie koniec świata? Myśleliśmy, że wiemy. Wówczas nauka nauczyła nas uważać te odpowiedzi za mity, i oto teraz podaje ona swoją własną odpowiedź. Na progu nowego tysiąclecia człowiek posiada pyszne przekonanie, że nie musi być wcale odległy ten dzień, w którym będzie on w stanie wysadzić świat w powietrze. Przyznajmy, że przygoda jest emocjonująca. Naciska się guzik i ziemia eksploduje jak gigantyczna bomba, a jej roztarte na proch fragmenty rozplývają się w deszczu gwiazd, który zaskoczony oczy Marsjan, o ile jacyś istnieją, ujrzą pędzące nocą w przestworza kosmosu. Podobnie jak dziecko, które bawi się rozbijaniem zabawki bez żadnej przyczyny, po prostu by zobaczyć, jaka jest w środku, tak człowiek rozbija świat. Możliwe jest, że wówczas urodzi się coś innego, nie jest to jednak pewne; na dziś wiadomo z pewnością, że to, co nasze, dobiegnie końca.

Można będzie przynajmniej powiedzieć, że człowiek jest wolny! Od tego momentu można próbować wszystkiego, zwłaszcza w dziedzinie umysłu. Napisał tak Stéphané Mallarmé, którego całe dzieło potwierdza to, co nazwano „obsesją niszczenia”, lecz

który unicestwiłby wszystko tylko wtedy, gdyby sam mógł dokończyć czystego aktu stworzenia i w ten sposób, jak zostało powiedziane, „stać się równym Bogu”. Czyż nie chodzi nam dokładnie o wyjaśnienie tego świętokradztwa? Terminy, których krytyka Mallarmé’go użyła do opisu jego poetyckiego przedsięwzięcia, doskonale pasują do szalonych ambicji współczesnego człowieka: „stworzyć poezję, która miałaby wartość nadprzyrodzonego stworzenia i która byłaby zdolna podjąć rywalizację ze światem rzeczy stworzonych, by całkowicie zająć jego miejsce”.

Zniszczyć istniejące stworzenie, by stworzyć coś innego: to ambicja także autentycznego surrealizmu, który rozumiem tak, jak niedawno zdefiniował go André Breton: „coś podyktowanego myśłą, uwolnioną spod całkowitej kontroli rozumu, rozwiedziona z całą estetyczną i moralną troską”. Wtedy zdolni będziemy wszystko powiedzieć, jak i wszystko uczynić. Jeżeli rozpoczniemy od unicestwienia wszystkiego, to jakie granice mogą nas zatrzymać? Absolutnie żadne. Wszystko jest możliwe, pod warunkiem, że ta twórcza iskra, którą surrealizm próbuje odnaleźć w głębi naszego bytu, będzie poprzedzona przez niszczący płomień. „Najprostszy akt surrealistyczny polega na tym, aby wyjść na ulicę z pistoletem w dłoni i strzelać z całych sił do tłumu, gdzie popadnie”. Dlaczego nie? Taka, jaka jest konieczna, aby stworzyć wartości, które są naprawdę nowe. „Wszystko jest jeszcze do zrobienia – jak twierdzi André Breton – każdy środek jest dobry, gdy służy do zniszczenia idei rodziny, ojczyzny, religii”. Teraz jest to nie tylko konieczne: skoro Bóg umarł, stało się to możliwe. Odwieczny obstrukcjonista, który ciążył na niebiosach od początku świata, nagle zniknął. Przeróżający rozmówca, do którego w ciągu wieków nieskończoną ilość razy człowiek zwracał się jedynie z drżącym głosem, oto nagle przepadł, pozostawiając po raz pierwszy człowieka – oko w oko z samym sobą – samego w świecie bez Boga i nareszcie jako pana swego przeznaczenia. „Ależ, Smierdiakow – mówi stary Karamazow – jeżeli Bóg nie istnieje,

wtedy wszystko jest dozwolone”. Co za cudowne wyzwolenie! Odtąd człowiek już wie, że może uczynić cokolwiek bez echa groźnych napomnień suwerennego sędziego w uchu, „Adamie, gdzie jesteś?”. Nie ma już żadnego sędziego, niech się Adam zbawia sam, który – jako, że sam tworzy prawo – sam je stosuje, nie wiedząc jeszcze, że człowiek jest dla niego najsurowszym z panów i że – w porównaniu z jarzmem, które sam nakłada na własne barki – jarzmo Pana jest lekkie do uniesienia.

Aby się o tym przekonać, potrzebuje on trochę czasu. Długo jeszcze po niebywałym odkryciu, że wszystko jest odtąd dozwolone, człowiek stale działa tak, jakby to, co wcześniej było zabronione, ciągle takim pozostawało. Starożytne prawo dobra i zła ciągle rządzi jego czynami, lecz zamiast nazywać się prawem boskim, nazywa się głosem sumienia. Nic się w ten sposób nie osiąga, człowiek zmienia tylko imię swego pana. Aż nieuchronnie nadchodzi dzień, w którym sumienie, odkrywając, że jest jedynie osadem długiego zastosowania, zwątpi z kolei w to, że nawet ono posiada władzę ustanawiania prawa. Dopiero wówczas wszystko staje się naprawdę dozwolone, a na pytanie: „Co musimy zrobić?”, nie ma już żadnej odpowiedzi. Lecz od momentu, kiedy rzeczywiście nie ma już niczego, co trzeba robić, człowiek nie wie już, co robić będzie. Podobnie jak żołnierz na urlopie doznaje pustki dwudziestu czterech godzin spędzonych beczynnie, tak dzisiaj człowiek poznaje tę nieskończenie bardziej tragiczną pustkę życia, które w całości spędza się na beczynnej wolności, do wykorzystania, której jest za słaby.

Takie właśnie zdudzenie dało początek współczesnemu egzystencjalizmowi oraz, co musimy przyznać, jego odważnej decyzji, aby mu się przeciwstawić. „Egzystencjalizm – jak mówi Sartre – jest niczym innym jak próbą wyciągnięcia wszystkich konsekwencji z logicznie ateistycznego stanowiska”. To prawda, a konsekwencje są straszne. Wszystko jest dozwolone, jeżeli Bóg nie istnieje, lecz także, w konsekwencji, sam człowiek doznaje

rezygnacji, ponieważ nie znajduje on ani w sobie, ani poza sobą, niczego, na czym mógłby się oprzeć. Wówczas to człowiek staje u początku srogiego męczeństwa na ścieżkach wolności. „Nie mamy ani za sobą, ani przed sobą, w jasnej dziedzinie wartości, żadnego usprawiedliwienia czy wytłumaczenia. Jesteśmy sami, bez usprawiedliwienia. Wyraziłem się już na ten temat mówiąc, że człowiek jest skazany na to, aby być wolny... człowiek, bez żadnego wsparcia i bez żadnej pomocy, jest w każdej chwili skazany na to, aby wymyślać człowieka”. Ciągłe wymyślanie siebie, bez modelu, bez celu, bez zasady, jest prawdziwie wyczerpującym zadaniem. Ojcem egzystencjalizmu nie jest Prometeusz przykuty, czy też nie przykuty do skały, lecz raczej Syzyf, „bohater absurdu”. Tragiczny bohater, ponieważ wie, i z tego dokładnie tytułu przewyższa swoje przeznaczenie. Czyż nie jest on silniejszy od kamienia, pyta Albert Camus, skoro toczy go odwiecznie? „Życie znaczy czynić absurd żywym. Czynić go żywym znaczy, nade wszystko, kontemplować go”.

Nie dziwi ani to, że absurd tworzy siebie z niczego, ani to, że nudzi się sobą. Lecz są to zabawy książąt umysłu. Ponieważ, jeżeli nie przyjmujemy przerażającej propozycji samobójstwa, to nasz problem żyć będzie musiał. Jakaś garstka intelektualistów może nadać znaczenie absurdom poprzez literacki sukces, który dzięki nim odnieśli, ale takie uzasadnienie nie ma wartości dla mas zwykłych ludzi, wyzwolonych przez ateizm, którzy, stając się bogami bez ubiegania się o to, nie wiedzą, co zrobić ze swoją boskością. Ta ostatnia nie wcale nie udaje, że ich zbawia, z kolei oni błagają o swoje zbawienie. Wtedy pojawiają się inni ludzie, którzy eksploatują ateizm po swojemu, i którzy organizują kult nowego boga. Nie bez racji, głęboko filozoficznej, marksizm wymagał ateizmu, jako jednej ze swoich koniecznych zasad.

Aragon i ja, pisał André Breton. Niech nas to nie dziwi, że Aragon, pisarz marksistowski, miał swój debiut u boku głównego surrealisty. Odtąd ich ścieżki się rozeszły, lecz wszystkie twórcze

ambicje człowieka, który czyni siebie bogiem, znajdują, co najmniej spójność w woli zniszczenia, które zakładają. Jakżeby marksizm mógł prawdziwie wyzwolić człowieka, gdyby najpierw nie uwolnił go od Boga? Od czasów Feuerbacha, wiemy dokładnie, co jest istotą chrześcijaństwa i w jaki sposób człowiek, który uważał się za stworzenie Boże, jest – wręcz przeciwnie – Jego stwórcą. Ponieważ nie ma już niczego między człowiekiem i nim samym, nie ma też niczego pomiędzy człowiekiem i innymi ludźmi. Po raz kolejny człowiek jest wolny, ale czy jest on rzeczywiście wolny? Wolność względem Boga nie oznacza wolności względem innych ludzi, między nimi a człowiekiem bowiem, nigdy nie istniała żadna inna obrona, poza Bogiem i Boskim prawem. Jest to bardzo stara historia. Czytamy o niej w *Księdze sędziów*: „W owych dniach nie było króla w Izraelu. Każdy czynił to, co było słuszne w jego oczach” (Sdz 21, 25). Nadszedł jednak dzień, w którym ci wolni ludzie zmęczeni się swoją wolnością. I kiedy prorok Samuel stawał się stary, przyszedli do niego i powiedzieli: „Ustanów nad nami króla, aby nami rządził, tak jak to jest u innych narodów”. Na te słowa Samuel doznał wielkiego smutku, myślał bowiem, że zawsze sprawował sądy według prawa Bożego, bał się jednak, że to on dopuścił się jakiegoś błędu, czym sprawił, że ludzie odwrócili się od prawa.

Pan poznał jego myśli, i rzekł mu: „Wysłuchaj głosu ludu we wszystkim, co mówi do ciebie, bo nie ciebie odrzucają, lecz mnie odrzucają jako króla nad sobą”. Przed przyznaniem ludowi żydowskiemu króla, o którego prosił, Bóg daje mu poznać prawa, których jego przyszli panowie nie omieszkają egzekwować: „Synów waszych będzie on brał do swego rydwanu i swych koni, aby biegali przed jego rydwanem. I uczyni ich... robotnikami na roli swojej i żniwiarzami. Przygotowywać też będą broń wojenną i zaprzęgi do rydwanów... Zasięwy wasze i winnice obciążą dzieściami i odda ją swoim dworzanom i sługom”². Widzieliśmy te

² Zob. 1 Sm 8, 11-18.

rzeczy i jeszcze gorsze od nich, gdyby bowiem, rządy dzisiejsze zadowolily się wpływami z podatków w wysokości dziesięciu procent, jakie westchnienie ulgi dałoby się usłyszeć na świecie! Odkąd ludzie odrzucili służbę Bogu, nie ma już sędziego między nimi a państwem, które nad nimi panuje. To już nie Bóg, lecz państwo sprawuje nad nimi sądy. Ale któż wtenczas sądzić będzie państwo?

Aby poznać odpowiedź na to pytanie, wystarczy spojrzeć na to, co dzieje się wokół nas. By osądzić państwo, nie ma już nikogo. W każdym kraju i we wszystkich państwach ludzie oczekują ze strachem i drzeniem na potęgę tego świata, która rozstrzyga o ich losie. Wahają się, niepewni, wśród różnych form niewolnictwa, które się dla nich przygotowuje. Wsłuchując się z zapartym tchem w doniesienia z krajów, które z hukiem padają jeden po drugim, pozostawiając po sobie długą ciszę, zastanawiają się w udręce, jak długo potrwa ta mała wolność, którą jeszcze posiadają. Oczekiwaniu towarzyszy napięcie, które w wielu osobach wywołuje uczucie niewyraźnego przyzwolenia na niewolnictwo, tajemniczo kielkujące w ich wnętrzach. Z narastającym zniecierpliwieniem oczekują przyjścia pana, który narzuci im wszelkie formy zniewolenia, rozpoczynając od najgorszej i najbardziej hańbiącej ze wszystkich – obejmującej umysł. Błogosławiony ten, który uwolni nas od nas samych! Sam pod pustym odtąd niebem człowiek proponuje każdemu, kto ma na to ochotę, tę bezowocną wolność, której nie potrafi używać. Czeka na wszelkich dyktatorów, przywódców ludzkich tłumów, które podążają za nimi, jak za przewodnikami i które ostatecznie są przez nich prowadzone w to samo miejsce – do rzeźni.

Co zatem należy uczynić? Proszę mi pozwolić, że na to pytanie odpowiem innym pytaniem: jak wiele łaski pozostało jeszcze w roku pańskim 1948? Byłoby to pytanie jedyne, gdyby nie pozostało kolejne: czy człowiek pragnie otrzymać to, co jeszcze dzisiaj pozostaje łaską? Lekarstwo można znaleźć, nie przez nu-

rzanie się w złu, lecz w odwróceniu się od jego przyczyny. Nie mówmy: jest za późno i nic się nie da zrobić. Lecz miejmy odwagę poszukać zła i lekarstwa na nie tam, gdzie one istnieją. Gubiąc Boga, człowiek zgubił swój rozum: nie odzyska go ponownie zanim wcześniej nie odnajdzie Boga.

W XIII w. żył pewien filozof, któremu wygląd świata nie przysparzał znudzenia, lecz ciągle nową radość, dostrzegał w nim bowiem jedynie porządek i piękno. Człowiek nie wydawał mu się Syzyfem beznadziejnie skazanym na absurdalną wolność, ponieważ czyta we własnym sercu jasne prawo praktycznego rozumu. Na wszystkie strony, wewnątrz i na zewnątrz, jedno i to samo światło oświeca rozumienie rzeczy i je porządkuje, gdyż duch, którego można w nich znaleźć, odtwarza je w umyśle według porządku tej samej twórczej zrozumiałości. Ta harmonia myśli i rzeczywistości, którą w naszych czasach Einstein określa jako najbardziej niepojętą z tajemnic, nie dziwi naszego filozofa, ponieważ zna jej źródło, którym jest sam Bóg, którego czyste istnienie znajduje się u początku całej rzeczywistości, jak również całej wiedzy. Czymże z kolei jest dla człowieka wolność, jeśli nie akceptacją siebie w miłości, podobnie jak pragnie go i kocha jego Stwórca? Cóż to znaczy działać jak wolny człowiek, jeśli nie kierować woli według rozumu, a rozumu według prawa Bożego? Najszerszą wspólnotą jest wszechświat. Bóg, który go stworzył, rządzi nim według prawa wiecznego, którego prawo naturalne i prawo moralne są tylko szczególnymi wyrazami. Nie ma grzechu, nie ma moralnej winy, która nie jest najpierw błędem popełnionym na szkodę inteligibilnego światła, naruszającym prawa najwyższego rozumu.

Chrześcijański i dlatego znakomicie nadający się do zamieszkania, czy ten wszechświat św. Tomasza z Akwinu jest jeszcze naszym wszechświatem? Obawiam się, że nie. Jest on jednak jedynym, w którym człowiek potrafi żyć bez konieczności stwarzania sobie w nieustannych bólach własnej nicości, bez koniecz-

ności ciągłego toczenia Syzyfowego kamienia i ulegania fascynacji niewolnictwa, które uwolni go nawet od pamięci wolności. Ten świat jest światem boskiej mądrości, która przenika wszystko ze swoją mocą i rządzi wszystkim z łagodnością. Raoul Glaber pisze, że po okresie wielu nieszczęść i znaków prorockich, wstąpił do nieba pewien rodzaj pokoju, a ziemię pokryła biała szata kościołów. Tak znikły obawy roku tysięcznego. Dziś zbawienie jest identyczne. Dla obrony człowieka przed człowiekiem, pozostaje tylko Bóg. Albo, więc Jemu służyć będziemy w duchu i w prawdzie, albo też bez końca i coraz bardziej czynić się będziemy niewolnikami potwornego idola, którego uczynimy własnymi rękoma na swój własny obraz i podobieństwo. Przyczyną tak wielu nieszczęść jest w istocie ludzka nieznajomość ważnego orędzia: ludzie nie wiedzą, że narodził się nam Zbawiciel. Nie jest to orędzie Zaratustry, jest to obietnica pokoju, która niemal dwa tysiące lat temu rozległa się w niebie nad Betlejem.

Thum. ks. Paweł Tarasiewicz